

J A N I N A M I C H A L I K

**Archiwum Wschodnie**  
Oddział we Wrocławiu  
ul. Szewska 50/51 tel. 402-870  
50-139 Wrocław

I/198A

O P I E K A N A D D Z I E C M I  
N A S Y B E R I I .  
/ W S P O M N I E N I A /

Zanotował na taśmie magnetofonowej dn. 29.09.1991 r.  
i opracował maszynopis -  
dr Czesław Bazan.

W r o c ł a w

K w i e c i e ń 1 9 9 2 r.

## O P I E K A N A D D Z I E C M I N A S Y B E R I I .

## 1. S z k o o ł a w K o ł p a s z e w i e .

Nazywam się Janina Michalik; urodziłam się 24.11.1917 w Brześciu nad Bugiem. Zostałam wywieziona z Szereszewa, gdzie pracowałam w szkole. Znalazłam się początkowo w Togurze, Narynski kraj. Uzupełniam swoje wspomnienia p.t. "Moje losy po 17 września 1939 rpk", dodając garść wspomnień ze szkoły.

Pracowałam jakiś czas jako nauczycielka, i z tego względu trafiłam również później do pracy w szkole. Na prośbę ówczesnego Męta Zaufania L. Mickiewicza z Kołpaszewa, zostałam przeniesiona z Toguru, osady tartacznej, do Kołpaszewa, gdzie po wyjeździe poprzedniej nauczycielki objęłam - jak się to nazywało - polską szkołę. To nie była ściśle szkoła: to było formalnie prowadzone za wiedzą władz przed-szkole dla polskich dzieci i punkt dożywiania dzieci. Oficjalnie i faktycznie uczyliśmy dzieci również języka polskiego, historii, geografii, śpiewu pieśni polskich; chodziło nam o to, żeby dzieci się nie wynarodowiły.

Szkoła i punkt dożywiania dzieci mieściły się w Kołpaszewie przy ulicy Trudowej, pamiętam dobrze, chyba numer 26; drugi punkt znajdował się w przeciwległym końcu miasta, na t.zw. Kirpicznym Zawodzie /cegielni/. Chodziliśmy równocześnie i tam, z jednego punktu na drugi. Przy ulicy Trudowej miałyśmy również /same kobiety z dziećmi/ swoją kwaterę. Podczas nauki w pomieszczeniu kuchennym opróżniało się stoły, i tam dzieci - oprócz nauki - dostawały posiłek sporządzany z darów amerykańskich i darów UNRRy. Otrzymywały gotowane kakao, często ryż, a w każdym bądź razie jeszcze i tran dla uzupełnienia niedoboru witamin. Przy ul. Trudowej gotowała druga pani, mieszkająca tam ze mną, a na Kirpicznym Zawodzie - właśnie matka p. Bazana opiekowała się tym punktem dożywiania dzieci. Sala szkolna i dożywianie mieściły się w tym baraku, gdzie mieszkali Polacy, z tym że część mieszkalna oddzielona była od części szkolnej zastoną czy kotarą.

Ile było dzieci - tego nie pamiętam, liczbowo nie określam, ale rozpiętość wieku była duża, tak że ~~były~~ kłopoty z nauczaniem były ogromne, ale dzieciaki ówczesne - to były kochane, złote dzieci. Uczyły się pilnie, wiernie, nie przeszkadzały sobie. Można było dzieci podzielić na grupy i każda grupa pracowała nad swoim zadaniem, nie przeszkadzając drugim. Nie było mowy o żadnych figlach! Nie wiem, czy dzieci były przygłuszone ciężkimi warunkami, czy poważne nad-wiek - dość że nie było żadnych kar, uciekania się do żadnych kar,



Janek i tato  
jadą z lasu  
wozą z lasu opał na zimę  
mama i Ala opatrują okna  
bo już zimno-bo zima tuż tuż  
wozą opał opatrują okno zimno tuż

57

Jedna ze stron "Elementarza" z numeru 16-17 Tygodnika "Polska" z dnia 25.10.1942 r. Cała wkładka zajmuje 4 strony tygodnika, i liczy 16 stron elementarza. Na lewym brzegu widoczna część sąsiedniej strony elementarza.

ЗАУФАНИА ЯНІ ПОЛСКИ  
 W KOŁPASZEWIE  
 ENAPYNSKI OKRĘG  
 ПОС. ДЕННИА ПОЛЬСКОЕ  
 В НА КОЛПАШЕВСКИ Р-Н  
 НА ПІСЛЯ ОКА  
 ДАТА 28.01.1943

Janina Michalik  
 wychowawczyni w polskim  
 żłobku  
 1939  
 1943

Zaświadczenie Męża Zaufania w Kołpaszewie, z dn. 28.01.1943 o pracy p. Janiny Michalik jako wychowawczynie w polskim żłobku.

МІСЦЕВОЙ РАЙОННИЙ  
 СОВЕТ  
 КОЛПАШЕВСКОГО РАЙОНА  
 31 мая 1944 г.  
 № 7

- Справка -  
 Факт настоящей Михаилки  
 Яковны Ивановны в том, что  
 она с 15 декабря 1943 года по  
 25 мая 1944 года работала заве-  
 дующей начальной польской школой в  
 с. Колпашиво освобождена от работы  
 связи с возникшим полвечем угрозами  
 от Кармеленского округа

Заб. Горно-Тадомно  
 1944

Zaświadczenie Miejskiego Wydziału Oświaty w Kołpaszewie z dn. 31.05.1944 r. o pracy w charakterze kierowniczki polskiej szkoły podstawowej.

209 010

РЕШЕНИЕ № 319

Исполнительный Комитет Исполнительного Совета депутатов трудящихся.  
14 декабря 1943 года.

ПОСТАНОВИТЬ: Об открытии польской начальной школы в г. Колпашево

в соответствии с постановлением Исполнительного Совета ССР от 20 июня 1943 г. № 710 и Ком. Вык. Новосибирской Рад. Обл. от 19 ноября 1943 г. № 1704 "Об открытии польских школ".

ИСПОЛНИТЕЛЬНЫЙ КОМИТЕТ И. С. Д.:

1. Организовать с 15 декабря 1943 года в г. Колпашево начальную школу на 35 человек.
2. Обязать Кир. ГОРОНО тов. Педошко докомплектовать польскую школу педагогическими кадрами и подобрать оборудование, оборудование и хозяйственные расходы, связанные с открытием польской школы в руб. согласно прилагаемой смете, и предельно учесть по торговому бюджету на 1944 год в размере 3632 руб.

ПРЕДСЕДАТЕЛЬ ИСПОЛКОМА

(А. ШАРАПОВ)

И.О. СЕКРЕТАРЯ

(Е. ГЛУШКОВА)

Вариант: Зав. (схема школы) *А. Шарапов*

(Поледусова)

DECYZJA Nr 319

Komitetu Wykonawczego Rady Miejskiej deputatów ludu pracującego  
m. Kołpaszewo 14 grudnia 1943

ZAGADNIENIE: Otwarcie polskiej szkoły podstawowej w Kołpaszewie.

Zgodnie z postanowieniem Rady Komisarzy Ludowych ZSRR z 20 czerwca 1943, Nr 710, i Kom. Wyk. Nowosybirskiej Rady Obwodowej z 19 listopada 1943 r., Nr 1704 "O otwarciu polskich szkół"

KOMITET WYKONAWCZY RADY MIEJSKIEJ POSTANOWIŁ :

1. Zorganizować w Kołpaszewie od 15 grudnia 1943 r. polską szkołę podstawową na 35 osób.
2. Zobowiązać Kier. GORONO, tow. Padoško do skompletowania kadr pedagogicznych dla polskiej szkoły i do wybrania odpowiedniego lokalu.
3. Prosić Obwodowy Kom. Wyk. o wydzielenie 3632 rub. na utrzymanie etatów, sprzęt i wydatki gospodarcze, związane z otwarciem polskiej szkoły, zgodnie z załączonym planem wydatków, i uwzględnić w budżecie miejskim na 1944 r. utrzymanie polskiej szkoły.

PRZEWODNICZACY MIEJSK. KOM. WYK.  
P.o. SEKRETARZA

/A. SZARAPOW/  
/E. GLUSZKOWA/

Za zgodność: Kier. Oddziału Ogólnego / - /

/Pocelujewa/

Polska szkoła w Kozłpaszewie

Świadectwo szkolne

Uczeń III kl. Parzan Wiesław otrzymał  
następujące oceny na naukę w 1943/44 r. s. 52

Z języka polskiego: gramatyka 5  
czytanie 5

Z języka rosyjskiego: gramatyka 5  
czytanie 5

Z arytmetyki - b. dobrze 5

Pismo - dobre 4

Geografia Polski - b. dobrze 5

Geografia ogólna - b. dobrze 5

Historia d. S. R. S. - b. dobrze 5

Przyrodznawstwo - b. dobrze 5

Śpiewy - b. dobrze 5

Z rysunków - b. dobrze 5

Z gimnastyki - b. dobrze 5

Siłności - b. dobra 5

Wychowanie - b. dobre 5

Wynik ogólny - b. dobry

Przeznaczony do kl. IV

Ucz. szk. - *J. Michalukowa*

Kozłpaszewo 19. V. 44 r.

Świadectwo ukończenia trzeciej klasy w polskiej szkole, wydane 19 maja 1944 r. Rok szkolny zakończył się wcześniej ze względu na wyjazd Polaków z Kozłpaszewa. Świadectwo opatrzone pieczęcią szkoły podstawowej Nr 5. Na odwrocie oryginału jest tekst w języku rosyjskim.

do upomnień czy do innych kar dyscyplinarnych.

Z zeszytami- to sprawa była rozpaczliwa. Pisały na czym się dało. Atrament był własnej roboty: robiło się go z sadzy, rozrobionej przeważnie młkiem; ktoś zdobył ołówek kopiowy; były też różne jagody /bo owoców na Syberii nie było, tylko jagody/, z których też robiono atrament. Słowem- domowym sposobem przyrządzano atramenty.

Książki- to czasem ktoś miał w swoich walizkach czy tobołkach, a trochę elementarzy przyszło zza granicy, w postaci gazet, w których- były kole jne odcinki. Zresztą pamiętam śpiewnik Zofii Lissowej- ale może to było już za Związku Patriotów Polskich? Bo z Anglii jeszcze chyba nie przychodziły. No i z pamięci przywoływało się i opowiadało różne opowiadania, basnie, zdarzenia i opisy; co tylko można było dzieciom przekazać- to się przekazywało.

W grudniu 1943 r. została uruchomiona polska szkoła już oficjalnie, gdyż zaprzestano poprzedniej działalności po zerwaniu stosunków z Rządem Polskim w Londynie w kwietniu 1943 r. Wydzielono w szkole rosyjskiej jedną z klas, i tam odbywały się zajęcia tylko polskich dzieci. Oczywiście, siedziały rzędami według wieku: grupa maluchów, grupa starszych i najstarszych; ci najstarsi trochę w ty- le, a malcy koło mnie. I tak trzeba było się przesuwać od grupy do grupy, coś im opowiadać w miarę posiadanych podręczników i dopisy- wanie pamięci, i kontynuować naukę. Wtedy było już trochę podręczni- ków z ZPP, ale najwięcej podręczników mieliśmy później, w Stawro- polskim kraju- wtedy już był pełen wachlarz.

W tej szkole było wszystko na tyle formalnie, że nawet kontrolo- wała nas Rosjanka, p. Padałko, odpowiednik polskiej kuratorki. Otrzy- mywaliśmy wynagrodzenie, były koszty, w związku z tym mieliśmy ksią- żeczkę czekową, na którą pobierałam pieniądze.

Zajęcia w szkole w Kołpaszewie "urwały się" w końcu maja 1944 r., gdyż wtedy całą grupę polskich obywateli "przeewakuowano"- tak to nazywając- na Kaukaz.

## 2. N a K a u k a z i e .

Przewieziono nas na tereny północnego Kaukazu, w strefę stepów- suchych, bezwodnych stepów. Tam się potoczyła nieco inaczej akcja nśuczania. Polskie dzieci zostały zorganizowane w grupę, działającą po zajęciach w normalnej szkole rosyjskiej. Douczano się z typowo polskich przedmiotów, a więc języka polskiego, historii, geografii oraz polskich pieśni. Dzieci chodziły poza tym do rosyjskiej szkoły. To był sowchoz, więc miały wszystkie już wtedy stosunkowo blisko do szkoły. Były również podzielone na pewne grupy

bo nie wszystkie były w jednym wieku. Uzupełniano w ten sposób naukę / w szkole rosyjskiej/.

Pozatym nie tylko dzieci, ale i starsza młodzież, i starsi przychodzili do nas i się douczali. Organizowali się w kółko artystyczne. Wystawiliśmy parę akademii, czy nawet występów, zdobywając olbrzymią popularność w tym sowchozie. Młodzież przychodziła na zajęcia nawet z odległych folwarków, gdzie do pokonania miała sporo kilometrów. To było w sowchozie nr 107, w Stawropolskim kraju.

Potem zostałam przeniesiona do polskiego Domu Dziecka w Ipatowie, gdzie przebywało 220 sierot "przeewakuowanych" z Archangielska. Tam była już normalna szkoła siedmioklasowa, i była grupa pedagogów. Szkoła była w oddzielnym budynku, istniały też odrębne klasy. Szkoła zajmowała przy sierocińcu jedno skrzydło, tak że sale sypialne były oddzielnie, a klasy- też osobno, na dole. Nazwiska nauczycieli musiałyby sobie przypomnieć, mam w dokumentach pełne oświadczenia; była np. pani Roszko, p. Nowodworska /te nazwiska pamiętam/. Zajęcia w tej szkole trwały do lutego 1946 r.

Muszę tu powiedzieć to samo co poprzednio o postawie dzieci. Nie unosi mnie sentymentalizm- ale dzieciaki były naprawdę fenomenalnie dobre! Nie pamiętam konfliktów ani kar- wszystkie dzieci były jakies takie przystosowane do życia, jakies takie układne, dobre dzieci. Czy przez życie tak "wybite", tak że nie "rogate"?

W Ipatowie uczyłam od lipca 1945 r. do lutego 1946 r. Czy wydawano tam świadectwa? Tak dalece nie pamiętam niektórych spraw, że jak Pan przedstawi świadectwo swojego braciszka /z Kołpaszewa/, pisane moją ręką, to mnie tak zaskoczyło- bo ja zupełnie zapomniałam. Jednak te 50 lat robi swoje!

W Ipatowie były normalne lekcje, tylko że dzieci jadły śniadanie i przychodziły na lekcje. Pamiętam, że kiedyś był taki wypadek, że śniadania nie było, bo chleba nie dowieźli. Wówczas- a odpowiada- łam już wtedy za szkołę- nie pozwoliłam zaczynać lekcji dopóki dzieci się nie najedzą. Misłam przeciwniczkę w postaci dyrektorki Domu Dziecka, która była Rosjanką, i mnie wtedy bardzo "zrugala"- ale ja się postawiłam, że dzieci nie mogą przychodzić głodne na zajęcia. To był tylko ten jeden zatarg, a poza tym- dzieci nie były odciągane od lekcji, lekcje musiały się kolejno odbywać wszystkie, według rozkładu.

Z rejonu przychodzono na kontrole, sprawdzano stopień nauczania, wiadomości, sposób prowadzenia lekcji. Jednym słowem- podlegało się wszystkim rygorom, jakie obowiązywały wówczas w szkolnictwie.



К. С. С. С. Р.

К. Р. Б.

Справка

Отдел  
Революционного Образования

Дана настоящих м. Мил-

халки в толи, что она

17 июня 1945 г.  
85245

действительно работала

прибывшей 107 школы в се-

мешении в начале с 1 сентября 1944 г.

15 июля 1945 г. по адресу

Республика в Ивановской области  
г. Гомель



Павел

Zaświadczenie Wydziału Oświaty o pracy nauczycielskiej  
w szkole siedmioletniej w sowchozie Nr 107, w Stawropolskim  
kraju, z dn. 17 czerwca 1945 r.

Polski Dom Dziecka  
w Ipatowie - 25000  
23. II. 1946 r.  
L. dz. 17.

Zaświadczenie

Нижеслужащий касательно то, что об. Михалик  
мина прародка в г. Ипат. jako zastępca dyrektora domu  
nauczycielskiego polskiego w kl. F. VII szkoły przy domu Dziecięcym  
w okresie od 24. II. 1946 r. do momentu repatriacji do Polski.



Dyrektor Dobros - [Signature]  
Sekretarz Kujawska

Zaświadczenie z pracy w Polska Domu Dziecka w Ipatowie,  
z dn. 23.02.1946 r.

### 3. Ó p i e k a n a d d z i e c k i e m.

Na Syberię zesłano mnie z sześciotygodniowym synkiem, Zbyszkim. Jak sobie dawałam radę z małym dzieckiem? Dziecko było rzeczywiście małeńkie, przeżyło cudownym zrzędzeniem losu i łaską Bożą. Sześciotygodniowe dziecko, przez przeszło dwa tygodnie podróży w zakratowanym wagonie, nie myte, nie kąpię, karmione czarnym chlebem przez szmatkę, łyżeczką cukru przez szmatkę. Czasem udało się spuścić na sznurku przez kraty butelkę i pieniądze; rosyjskie kobiety wlewały mleko i wtedy można było napić niemowlę surowym mlekiem. Ja z rozpaczy pokarmu prawie nie miałam; zresztą tak się złożyło, że znalazłam się zupełnie bez pieniędzy, bez jedzenia i bez zimowego ubrania, /wyjaśniłam to w pisemnej relacji/- w wagonie, jadącyna na Syberię!

Muszę dodać o pielęgnacji dziecka w wagonie: półlitrowa butelka wody na dobę dla dziecka! Co można tym wynąć? Pieluchy sztywne, brudne, "skostniałe". Dziecko raz tylko- muszę przyznać- było wynyte w drodze. Pamiętam na trasie, już na Syberii, taką stację Issiul Kul. Nazwę tę zapamiętałam, bo dziwnym zrzędzeniem losu ta stacja była miejscem urodzenia mojej koleżanki szkolnej, i stąd mi ta nazwa utkwiała w pamięci. Jechałam tą trasą na Syberię, skąd ona w 1920 roku wracała z rodzicami! To był jedyny przypadek, że transport za- trzymano i pozwolono nam wszystkim zesłańcom wyjść nazewnątrz, rozprostować nogi i zaczerpnąć powietrza. Panie zabrały wiadra, co która miała, i w tej wodzie, w zakrytym wagonie, w miednicy wyciągniętej skądś spód kupy bagażu- umyliśmy dzieciaka. To był ten jeden jedyny raz, kiedy nas wypuszczono nazewnątrz. W rozległym stepie, pustym, głuchym stepie, gdzie żywego ducha nie było widać, mieliśmy tylko tę jedną okazję. Każdy miał w butelce uzbieraną wodę, i tak się złożyło, aby dziecko można było umyć.

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, wyładowano nas na olbrzymim placu. Ludzie pomagali mi, jak mogli, przy wyładunku bagażu. Dziecko już wtedy bardzo cierpiało, krzyczało dzień i noc. Matki z małymi dziećmi umieszczono w klubie, pod dachem /w klubie w Togurze, CB/ Jedną z pań, p. Ludyniowa- później z nią mieszkiałam- pomagała mi te całe dni i noce <sup>ieleg</sup> pilnować to dziecko, trzymać na rękach; jak jedna musiała odejść, to druga trzymała, huśtała, przewijała- co tylko mogła, to robiła.

Wreszcie osiedlono nas na miejscu. Tutaj też mi sprzyjał los, bo do końca nie wyczytywano mnie. Po nas wszystkich sajeżdżały na plac, jak po białych niewolników, podwozy ~~z~~ kołchozów, i dobierano przede wszystkim takie rodziny, gdzie ręce zdolne były do pracy.



Janina Michalik z synkiem, w Środku  
Togur 1942 r.



Złobek w Kołpaszewie, na przełomie 1943/44 .  
X- Zbyszek Michalik

A cóż ja- z krzyczącym niemowlęciem na ręku! Ale nigdzie mnie nie wyczytywano; miałam zostać na miejscu? Wreszcie ostatniego dnia, gdy nas już tylko garstka została, która miała zostać w Togurze, a mojego nazwiska ciągle nie było- dotarłam do tej komisji dokonującej rozdziału. Okazało się, że się pomylili, że mnie przeoczyli; byłam gdzieś zapisana do jakiegoś leśnego gospodarstwa, "leschozu", no i coś pomyłono, nie wzięto mnie, albo celowo pominięto, aby mną sobie głowy nie zawracać. Wobec tego zostałam w Togurze, w ostatnim momencie, bo już zresztą nie było dla mnie gdzie indziej wyznaczonego celu i miejsca pobytu.

Gospodarze, ci miejscowi, to byli dawni zesłane z lat 30-tych i 1993, Diegtiarowy- wyszli życzliwie przed chatę, wzięli ten mój ubogi dobytek, co tam było: skrzynia z jakąś resztką tych rzeczy, które miałam. "Gdzie twój chaziain"? "No, nie ma chaziaina". Szybko rozpalili ogień, nagrzali wody w kotle, szybko wymyli dziecko i mni pomogli. Spotkałam się z serdecznością tych ludzi.

Później od razu pobiegłam z dzieckiem do szpitala. Okazało się, że w pasie, z tyłu na plecach miałam dwa olbrzymie wrzody, a i sutki piersiowe też były owrzodzone. To był z wyglądu kościotrupek, tak że kobiety się litowały i mówiły, że muszę się ustawić do życia trzeźwo- że to maleństwo nie może żyć, i po co ja walczę! A jednak wywalczyłam!

Teraz praca: przyszli wyganiać do pracy. Pamiętam tego człowieka; on sam co prawda był zawstydzony, onieśmielony, głowę miał opuszczoną, ale "Do pracy!" No to dobrze- przyjmijcie dziecko do żłobka! A on: "Nie ma miejsca dla waszych dzieci, bo tam są dzieci krasnoarmiejców, którzy poszli na wojnę". No to ja mówię: "To trzeba było nas zabić tam na miejscu, czegoście nas tutaj ciągaliby?" Wykrzyczałam mu swój ból i rozpacz, ale nie spotkałam się z odwetem, po prostu ten człowiek widział nieludzkość mojej sytuacji. Pomagali mi ludzie, tak że ani razu do pracy nie chodziłam. Sprzedawało się, co się dało, jako pierwsza poszka na sprzedaż poduszka. W gruncie rzeczy ja nie miałam wiele do sprzedaży, bo byłam zaskoczona wywozem.

Później jednak poszłam do pracy, jak się przeniosłam i zamieszkałam razem z Polakami; wówczas jedna babka pilnowała małego, a ja już chodziłam do pracy do tartaku; to była wspomniana pani Ludyniowa. Mieszkaliśmy już wtedy w takim komsomolskim internacie, "obszczeży-tiju", w dużej izbie. Pozwolono nam zamieszkać razem- bo przed-tem, to trzymano każdego z nas na miejscu wyznaczonym.

Dość tego; że z tartaku przybiegałam na przerwę obiadową, obsypana trocinami, i karmiłam małego; można sobie wyobrazić, ile trocin się sypało. Piłam tę kawę czarną, oczywiście zbożową /nie prawdziwą - to nie te czasy, nie te możliwości/. Piłam w pośpiechu, a żeby się nie poparzyć, z wiadra dolewałam zimnej wody; wypićam tę kawę i z powrotem do pracy gnałam.

Tak to trwało jakiś czas, ale dziecko bardzo chorowało. Potem przyjęli je dożłobka, ale ono bardzo chorowało! Mam jeszcze na pamiętkę książeczkę pracy, gdzie odnotowano mi: 13 dni pracy, 3 dni, 17 dni pracy w miesiącu. Więc Mąż Zaufania Ambasady RP, płk. Adamowicz orzekł stanowczo, że nie mam prawa marnować dziecka dlatego, że ja muszę pracować. I przyznał mi sam, nieproszony, 100 rubli zapomogi miesięcznej, żebym dziecko trzymała w domu i się nim opiekowała. Prawda, że i tak zdarzyła się jeszcze choroba; dziecko zachorowało na dyzenterię i miesiąc byłam z nim w szpitalu na oddziale zakaźnym. Osien kilometrów to dziecko trzeba było nieść, bo tartak nie dał konia, ale pomogły Polki. Interweniowały u Męża Zaufania i nawet zapłaciły za to, żeby mi zaniósł to dziecko razem.

W szpitalu spotkałam się rzeczywiście z wyjątkowym podejściem. Ja jedna, jedyna matka- Polka, byłam tam z dzieckiem przez cały miesiąc na oddziale, podczas gdy inne, Rosjanki, nie były tak długo.

Ale później byłam w stepach kaukaskich. <sup>bo w 1944 r. nas "przeewakuowane"</sup> Tam - już trzyletnie - dziecko zachorowało mi, dla odmiany, na malarię, bo to były malaryczne stepy. I również tam zatrzymano mnie z dzieckiem w szpitalu, i byłam tam przez dłuższy czas - już teraz nie potrafię określić, jak długo. Ale o dziwo! I tu też ja jedna z dzieckiem przebywałam w szpitalu bardzo długo. Bardzo ładnie się tam dzieckiem zajęto. Pamiętam, że dostawał nad wieczorem tych ataków febry. Cała sala, duża sala - bo nie było izolatek - pełna kobiet- milkła, a dziecko się trzęsło, szczerkało zębami, okropnie blade, jak papier.

Jednego razu sama lekarka trafiła na taki atak. To była chyba Gruzinka, piękna kobieta, o egzotycznej urodzie. Powiedziała, że nie sposób słuchać jak to dziecko cierpi. Poleciała zastrzyki z chininy, bo on chininy doustnie nie mógł przyjmować. Zastrzyki z chininy kazała... Poleciała siostrze w obecności wszystkich: "Tylko proszę nie wychodzić z apteki, dopóki tych zastrzyków nie przygotowują!" I ta kuracja zastrzykowa pomogła. Jednego dnia zastrzyki z chininy, drugiego dnia przetaczanie krwi - i dziecko "wybrało się" z malarii.

To były takie dwie poważne choroby, ale poza tym dziecko trzymało się bardzo życia. Jadał chętnie wszystko, co tylko mógł mieć do je -



1945 r.



Ipatowo

1946 r.

Janina Michalik i syn Zbyszek- Stawropolski Kraj

dzenia. Siadał na glinianą miskę, z drewnianą łyżką w garści, i wodą, na którą było sypanie trochę razowej mąki, wylizywał aż pokonyły mu uszy.

Pisałam we wspomnieniach, że kiedyś, jak jeszcze były dostępne ziemniaki, to brałyśmy je na placki, i w starej misce, w której dziury w dnie były zatkane szmatkami, piekaliśmy bez żadnego tłuszczu te babki. Szmatki oczywiście opiekły się, były już takie chrupiące, i moje dziecko zjadło nawet te szmatki. Kiedyś patrzę: Boże! Dziurawa miska! Co się stało? A malutki mi tłumaczy: "Bynio am!" Zjadł te szmatki.

Potem, jak byliśmy w stepach, dziecko chodziło do przedszkola - to było na centralnej fermie sowchozu; ja już wtedy pracowałam początkowo w kancelarii, a potem w szkole. Tu wszystko było na miejscu, opieka była łatwiejsza, bo był pod ręką. Nie chciałam, aby to wyglądało, że się chwale - ale dziecko było jakby taka maskotka naszego środowiska. Wszyscy się lubowali, patrzyli jak je, jak mówi, jak się rozwija; uczono go po polsku od małego. On był tylko jeden taki mały!

Już w tych stepach było z nim o wiele łatwiej, ale mimo wszystko zaczął dostawać pelagry; skóra na piersiach zrobiła się szorstka jak tarka, z dziąseł zaczęła się saczyć jakaś posoka, no i wtedy skierowano mnie z dzieckiem do Polskiego Domu Dziecka do Ipatowa, w Stawropolskim kraju.

Tu było już o wiele łatwiej zorganizować opiekę nad dzieckiem, bo i lekarz był na miejscu, był też kołchozowy rynek, można było coś dokupić, żeby organizm doprowadzić /do normy/. W ten sposób chłopak rozwijał się bardzo dobrze, przy udziale polskich dobrych ludzi. Nie widzę możliwości, żebym tylko sobie przypisała zasługę. Wszyscy pomagali, wszyscy troszczyli się o to, żeby mały miał to, co mu trzeba.

W Domu Dziecka spotkaliśmy się z dużą ilością takich poszkodowanych małych sieroty. To były małeństwa - ale tak do życia jakoś przystosowane, nie kapryśne - mówiłam już o tym poprzednio, jakie wspaniałe były te dzieci. Nie dlatego, że odległość w latach wygładza wszystkie złe strony i doznania - ale to były naprawdę dzieci fenomenalne.

Czy dzieci były zidentyfikowane - pod względem nazwisk? Tak, to były dzieci które miały pełną swoją ewidencję. Były to dzieci z Archangielska, gdzie jeszcze przebywały początkowo pełne rodziny, i wymierając - przekazywały te dzieci dalszym opiekunom, tak że ich ewidencja jednak się zachowała. Wszystkie miały imiona, nazwiska, daty uro-

dzenia, skąd pochodziły z Polski. Były to dzieci z rodzin wywiezionych w lutym 1940 r.

Pamiętam taką rozżewniającą scenę. Dzieci miały przejść serię szczepień przed wyjazdem do Polski. Byłam sama w tym gabinecie, razem z siostrą pielęgniarką, która miała robić zastrzyki. Wychowawczyni wprowadziła grupę najmniejszych, w której był i mój synek, i wszystkie zaczęły w głośno płakać - bo to maluchy... I siostra mówi: "No, jak tak płaczecie, to nie będę robić zastrzyków, ale nie będziecie mogli jechać do Polski". Na ten głos - to trzeba widzieć, ja nie potrafię tego odmalować - te czeredka malutkich dzieci, i wszystkie posłusznie zaczynają te rączki nadstawiać... i te chude rączki wysuwają się do zastrzyków!

A później, gdy już nadeszła repatriacja, nastąpił wyjazd wieczorem. Ta najmłodsza grupa przyjechała na sam koniec. Ja na dworcu odbierałam dzieci, a dyrektor ładował je w Domu Dziecka. Wreszcie, już w ciemnościach, jedzie najmłodsza grupa. Podchodzę do nich, a wychowawczyni mówi: "Pani Basiu, niech pani nie dotyka żadnego, bo one wszystkie są w glinie!". "A co się stało?" Jak nadeszła ciężarówka pod ganek i dzieci zaczęły się ładować, jak krzyknęły "Do Polski!" to spadały w glinę z ganku, i dlatego wszystkie były tak utyłane w glinie do czubka głowy - bo spadały, krzycząc "Do Polski!"

Jechaliśmy w oddzielnych wagonach, wydzieleni. Straszliwie późno otrzymaliśmy zaopatrzenie, tak że całe tusze mięsa jechały nie przerobione poprostu, nie zawekowane, nie gotowe, tak że na stacjach wiecznie był problem - jak to wymienić na już gotową żywność, i jak przygotować. Przez te parę tygodni jazdy, żeby opalić wagony i ugotować dzieciom - bo jechałam z grupą najmniejszych - tośmy kradli na dworcach i gdzie się tylko dało. Czasem jakiś mazut, czasem coś lepiące, jakieś bloki, jakieś kłody... Chłopcy z najstarszej grupy nam pomagali; to już byli chłopcy zwinni, sprytni; podciągali pod wagon co się tylko dało i nadawało do palenia. Były to wagony towarowe, a w nich piecyki. Trzeba było ogrzewać, bośmy jednak jechali wczesną wiosną. W stepach w Ipatowie już wtedy zaczęła się wiosna i, roztoppy, ale jak jechaliśmy przez Ukrainę - to po prostu była zima!

Łódź, dn. . . . .

*Janina Michalik*  
Janina Michalik

Na taśmie magnetycznej utrwalił dn. 29.09.1991 r. i opracował maszynopis - dr Czesław Bazan.

*Do udostępnienia po 1.05.1995*

*Wrocław, 1.05.1992*

*Janina Michalik*  
*(C. Bazan)*



